

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Bibliotece Polskiej, 6, quai d'Orléans.
w Księgarni Polskiej, 20, rue de Seine-St-Germain.

N^o 24.

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Księgarni A. Francka, 67, rue de Richelieu.
w Londynie: u p. A. Krasieńskiego
10, Duke Str. St-James's.

Cena prenumeraty:

Na rok fr. 20
Na pół roku fr. 10
Na trzy miesiące . . . fr. 5

DNIA 11 CZERWCA 1859 ROKU.

Dziennik wychodzi co tydzień,
W SOBOTĘ.

(Wszelkie zgłoszenia dotyczące się niniejszego pisma, tudzież przesyłanie reklamacyj i listów, mają być adresowane: à M. I. Szczepanowski, 6, quai d'Orléans, à Paris.)

Lat temu sześćdziesiąt i trzy, pod sam koniec tego wieku, który tyle widział wielkich czynów a większych jeszcze zbrodni, czytano na murach Medyolanu następującą odezwę w języku włoskim, francuzkim i polskim:

Wierny ojczyźnie mojej do ostatniego momentu, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona pod przemocą, i nie zostaje nam jak pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali za ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli nasze chorągwie zwyciężkie pod Dubienką, Racławicami, Warszawą i Wilnem. Polacy, nadzieja powstaje! Francya zwycięża, ona się bije za sprawę narodów: starajmy się osłabić jej nieprzyjaciół! Francya pozwala nam schronienia, czekając lepszych losów dla kraju naszego. Idźmy pod jej chorągwie; te są oznakiem honoru i zwycięstwa. Legiony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męstwa, są ze mną; już się bataliony formują. Przybawajcie koledzy; rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono: bijmy się za sprawę wspólną wszystkich Narodów, za wolność pod walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch. Tryumfy Rzeczypospolitej Francuzkiej są naszą jedyną nadzieją; za jej pomocą i jej aliantów, może zobaczymy jeszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili.

W kwaterze głównej w Medyolanie, dnia 1 Pluviôse Roku V Rzeczypospolitej Francuzkiej jedną i nie rozdzielnej (w styczniu 1797).

General-Lieutenant polski: Jan DĄBROWSKI.

Z tego też Medyolanu, pod dniem 9 stycznia, datowana ugoda z podpisami Bonaparte, Visconti, Dąbrowski, która dała początek owym polskim Legionom, co pod Mantuą, Novi i nad Trebbią Europie swęj waleczności, a Francyi i Włochom swojej miłości, krwawe i niezatarte w dziejach dały dowody.

Za dni naszych znowu Francya zwycięża i bije się za sprawę narodów. Dzisiaj znowu Medyolan, po długiej, męczeńskiej niewoli, widzi w swych murach Bonaparte i czyta odezwę z podpisem Visconti świadczące o niepodległości Lombardów... Ale jeśli «w dźwięków tych wszechzgódzie brak jednego dziś imienia,» jeśli Polakom mówionem jest teraz broń swoją złączyć z wyzwajającą bronią w Medyolanie: nie zapomnieli jednak owych słów *gli uomini liberi sono fratelli*, które były wyszyte na szlifach polskich legionistów we Włoszech, słowa te wryły się na wieki w serca ich wnuków, i wnuki te z radością, z dziękczynieniem, z błogością witają dnie chwały Montebella, Palestry, Magenty i oswobodzenie stolicy lombardzkiej.

Nie myślimy winszować francuzkiemu żołnierzowi, że bohaterki, ani Napoleonowi, że zwycięża: nie winszuje się słońcu, że świeci... Ale winszujemy Włochom ich męstwa i jedności, winszujemy przede wszystkim szlachetnym mieszkańcom Medyolanu, że rozważnie i godnie gierpieć a odważnie i skutecznie powstać potrafili. Wstrzy-

mali się od bezpłodnego bo przedwczesnego wybuchu, ale gdy chwila stanowcza nadeszła, nie czekali aż obcy ich wrota odwalą i sami je na rozcież swym otworzyli wybawicielom. Umieili przez czas czekać a na czas działać: chwała im z tego i zasługa, a przykład ludziom i ludom dobrej woli....

Włochy mają za sobą bożą sprawiedliwość, francuzką pomoc i własną dzielność: przeciwko tej trójcy sił nie przemogą żadne bramy Peschierzy i Werony, żadne mantańskie wały i teutońskie szale!

Nieswież, 5 maja 1859. (Koresp.). Za powrotem w zimie jeszcze z zagranicy, miałem sposobność przebieść część Żmudzi, Litwy i Białej Rusi. Pod wpływem świeżo rozegzowanych myśli i uczuć, może mi się zbyt ciemnym i zacieśnionym wydał widokrąg miejscowy, ale ochłonawszy nawet z pierwszych wrażeń, muszę utrzymywać, że wiele rzeczy należałoby tu oglądać, a może i nazwać inaczej. Co postrzegłem, co mię żywo dotknęło, opowiem pokrótce.

Zastałem kwestyą włościańską wszędzie *sur le tapis et à l'ordre du jour*. Przedewszystkiem zaprotestowałbym przeciwko jej nazwaniu: jest ona właściwie *szlachecką* a nie *włościańską*; bo chociaż mowa tu jedynie o przyszłości włościan, istotnie szlachta ma sobie położone zadanie: *być lub nie być*. I na nieszczęście, zadanie to na swojej urzędowej, publicznej drodze już rozwiązane. Z tego co robiono i zrobiono, gdyby nie więcej do roboty i do spodziewania się nie pozostawało, trzeba byłoby wyciągnąć najsmutniejsze przeświadczenia i wróżby.

Z symptomatów, jakie się dotąd objawiły w zbiorowym działaniu szlachty, widać już tylko w niej umarłe ciało, automat, co jak trup Piotrowina powołany z śmierci do życia, na to przemówił by dał świadectwo — nie o prawdziwie, jak tamten, lecz o fałszu. Darmo przyrządzono stos galwaniczny coby wstrząsł tém ciałem: ciało drgnęło, duch się w niem nie okazał. Społeczność tutejsza, podobna do źródła po długim zastoju, gwałtownie poruszona do dan, musiała się zakłócić, poruszyły się męty, i brudy zebrane latami podjęły się w górę...

Zapewne, przypatrując się zblizka i szczegółowie, można tu dostrzedz ślady lepszych dążeń, zabytki prawdziwych cnót obywatelskich i domowych; ale cóż, kiedy i a ten raz, trzeba to uważać za wyjątki w ogólnym znikczemieniu i zaślepieniu szumiącym na powierzchni. Wyjątki

zdarzają się najczęściej wśród ułamków dawnych rodzin, które nie zerwawszy jeszcze nici tradycyjnej, nie czując potrzeby świecenia fałszywym i pożyczonym blaskiem, żyją w spokojnej rezygnacji, w cichym pełnieniu obowiązków, w wewnętrznej i zewnętrznej harmonii z życiem otaczającego ich ludu, a więc w zgodzie z przeszłością i przyszłością. Takie rodziny rzadkie, zostały już dzisiaj jak owe stare krzyże na zarosłych chwastem drogach, mimo których nowo rżniętymi kolejami, dymiące i świszczące pędzą tłumy zaprzężone na pozór różnemi, a w gruncie jednak egoistycznymi celami. Reszta szlachty, co jeszcze dosiedziała na zagonie ojcowskim, co pocziwie oranęj skiby nie skropiła łzami cudzej krzywdy, zgłuszona halasem, zgnębiona potrącaniem, patrzy w smutnym osłupieniu na ten korowód dorobkowiczów, ex-ekonomów, spanoszonych plenipotentów, wszelkiego rodzaju spekulantów, nie wyłączając prostych szachrajów i szulerów, a nareszcie tych wszystkich, którym zabójcza dla nas atmosfera rządowa, posłużyła przedziwnie do wyklucia się i wzrostu. Tacy to w dzisiejszym działaniu stanowią większość.

Dopóki był czas deklamacji, panowie ci udrapowawszy się w płaszcz patryotyzmu, przybierali postać *ofiary*, skrepowanej w wielkodusznych porywach i chęciach, odepchniętej od interesów publicznych z którymi życie przodków tak się było zrosło, zmuszonej do rezygnacji rozsądnej. To ostatnie wyrażenie, dające się wyłożyć i określić każdemu według słownika własnego jego sumienia, było już bardzo wygodne; znaleźli jeszcze wygodniejsze powiadając, że co robią dla siebie, to robią wszystko dla *dobra kraju*. Ten więc płaszczyl się i podił, żeby otrzymać tytuł i stopień dla służenia krajowi; ów rujnował się na przepych i pozor pańskości, żeby znaczenie dozwalało mu opiekować się krajem; inny frymarczył, oszukiwał, zdzierał, ciemiężył powtarzając ciągle, że wzrost majątków prywatnych jest wzrostem bogactw krajowych. Aż oto niespodziewanie przysła na nich próba; zostali powołani do czynu, gdzie musiały otworzyć się tajniki ich wewnętrznego usposobienia. Kwestya *być lub nie być* dostała się im w ręce. Jak ją pojęli, co z nią zrobili, wiadomo. Pochyłość na jakiej siebie postavili, wpędziła ich na niebezpieczną mieliznę. Szamocą się jeszcze, płaczą, kłamią faktami słowem, słowami faktom, ale strach pomyśleć na czém się to skończy. Chyba jakiś nadzwyczajny wypadek, jakaś opatrzna pomoc, przyjazna siła lub straszna burza, zepehnie skolataną nawę na pełniejszą wodę i uniesie z prądem czasu. Ale czy się jęj bandera ocali i nie podrze w szmaty, czy dotrzymają maszty i liny!?

Zastanawiając się nad tem, zastanawiając się zwłaszcza tu na miejscu, wśród żywiołów, które w grę wchodzą lub wejść mogą, czyli raczej wejdą niezawodnie, mnóstwo różnych myśli ciśnie się do głowy. Z pomiędzy nich te tylko przynoszą otuchę i pocieszenie, które mają w sobie balsam wiary i ufności w miłosierdzie Boże. Rzeczywiście, dla czegożby grzechy jednej małej cząstki narodu, miały zabijać nadzieję lepszej przyszłości dla reszty. Bóg ocala miasto dla jednego sprawiedliwego. Żona Lota z okiem zwróconem na Sodomę w głaz się zamieniła, ale całej rodzinie przeznaczono było pójść dalej. Pomiedzy szlachta jest wielu sprawiedliwych, przynajmniej łakną-

cych sprawiedliwości, wzdychających do niej i cierpiących; a naostatek przecież oprócz szlachty są jeszcze miliony braci naszych. Teraz wypada mi przejść na drugą stronę kwestyi.

Samo przez siebie nasuwa się wam zapewne pytanie: cóż dzieje się z ludem, o którego losie toczą się narady, co on robi, mówi, myśli? Za odpowiedź na to podam jeden tylko rys jego usposobień, ale spodziewam się, że objaśniający dostatecznie.

Kiedy wrzały sejmiki, a potem rozprawy komitetowe w Grodnie, Kownie i Wilnie; kiedy pozostali jeszcze towarzysze Promienistych i Filaretów, koledzy Mickiewicza, Zana, Czeczota, naprzód przy wyborach, później w kole deputowanych łamali się ze stroną przeciwną; kiedy ta strona «broniąca pszczołkom włościańskim zbierania miodu na kwiatkach łąk swoich» targowała się o każdą piędź ziemi, głużyła pocziwie głosy odzywające się w imię Boga, ludzkości i wspólnego interesu, wszelką myśl ofiary i poświęcenia nazywała marzeniem poetów, utopistów i demagogów, podając projekta podstępne, starając się mnożyć utrudnienia i zwłoki, farbowała to wszystko pozorami troskliwości o dobro samegoż ludu, który zdaniem jęj pierwszej trzeba było umoralizować i oświecić żeby wolności nie nadużył, darów nie zmarnował; kiedy podczas pisania tej niezaszczytnej karty do dziejów naszych, brzmiała wesołość jakby w chwili oczekiwanego szczęścia czy położonej wielkiej usługi, i szły jedno po drugim zbytłkowe obiady i świetne bale: — lud żmudzki i litewski napelniał kościoły, cisnął się do ołtarzy, nie żalić się lub wołać o ulgę, ale oczyszczać się skrucą i czynić ofiarę więcej niż ze swojej skłonności, bo razem z istotnej potrzeby, zrzekając się do ostatniej kropli trunku osądzonego jako źródło jego wad i ngdzy.

Muszę w tym przedmiocie wypowiedzieć kilka myśli, choćby dla lepszego pojęcia jakie znaczenie przywiązywać należy do tak ochoczo przez lud nasz czynionych ślubów wstrzemięźliwości. Czy nędza chłopów naszych jest głównie skutkiem pijaństwa, czy też pijaństwo ich w znacznej części pochodzi z nędzy, o tem można długo rozprawiać na obie strony przytaczając nieskończoną liczbę przykładów, a w ostatku jedno lub drugie zdanie wyłącznie postavione, rozminie się z prawdą i przyjęte za zasadę, w logicznych następstwach wyda wnioski niepodobne do zastosowania. Bez wątpienia, nadużycie gorzałki sprawia wiele złego między ludem naszym; ale żeby mu zupełnie i nazawsze odjąć jęj użycie, to nie zdaje się być ani słusznem, ani nawet możebnem. Kto zbliżka, a ze szczerem współczuciem i głębszym zastosowaniem przypatrzył się życiu włościańskiemu u nas, ten nie ośmieli się przeciąć tu węzła jednem wyrzeczeniem dogmatycznym. Klimat nasz ostry i cierpki, zatrudnienia chłopów nietylko ciężkie ale częstokroć niezmiernie unużające moralnie. Przypomnijmy sobie, co każdemu nieraz zdarzyło się widzieć, owe szeregi furmanek, w dnie słotne jesieni, ciągnące pobłocie o mil kilkanaście ze zbożem do miasta. Przy każdej idzie biedny człowiek zmokły, przeziębły, który o kawałku chleba niesionym w torbie, będzie od rana do wieczora stał na targu i po noclegu bez zrzucenia odzieży, tą samą drogą jak przywłókl się tak nazad wracał. Możnaż jemu, tak sobie *a priori* i dla jednostajności prawidła, zabronić kieliszka wódki! Kiedy pomyślimy

przyczem, że za całe to zboże, kupionych kilkadziesiąt butelek wina wystrzeli przy jednym pańskim obiedzie, to zaprawdę wyrwie się głos z serca, że propagandę wstrzeźliwości nie od dołu ale z góry zaczynaćby należało. W imię samej higieny można by wiele powiedzieć przeciw bezwarunkowemu zakazowi gorzałki; ale są względy ważniejsze, psychologiczne i przeto moralne, przemawiające w tymże kierunku. Przeznaczeniem człowieka nie jest tylko sposobie się na porządną maszynę do pracy produkcyjnej, ale i rozwijać, podnosić, wyswabzać z więzów ziemskich swoje jestestwo duchowe. Do tego potrzeba mu pomocy i ułatwień zewnętrznych. My, tych środków pomocniczych mamy co niemiara. Nie licząc już różnych wygod, doboru pokarmów i napojów, ileż to rzeczy jest na nasze skinienie by nam dostarczyć wrażeń i wzruszeń: muzyka, teatr, literatura, różnego rodzaju towarzyskie zgromadzenia i zabawy. A biedny chłopiec cóż ma pod ręką na rozgrzanie, roztańczenie, wstrząśnienie zakrzepłego ciała, otrętwiających zmysłów, w których uwieczniona dusza poruszyć się i nie na zewnątrz wydać nie może. Jeden tylko dla niego jest kordyłał i specyfik. Idzie do karczmy, siada za stołem nad kwaterką, i tam dopiero otwiera mu się serce, rozwiązują się usta. Wiadomo, że w tych schadzkach następują najszczerze wyznania i ułatwiają się najważniejsze między włościanami sprawy. Po przepiciu jeden do drugiego poczynają wynurzać swoje smutki, żale, kłopoty, urazy lub życzliwości, dają sobie nawzajem pociechę, radę, zachętę, upomnienie. Nie obmyśliwszy inniej do tego im sposobności, godziło się i tej ich pozbawić. Czem zresztą byłoby wszystkie gody wiejskie, zaręczyny, wesela, chrzciny, dożynki, gdyby wygnąć z nich orzeźwiający napój. Niektórzy zawzięci nieprzyjaciele gorzałki radziłyby ją zastąpić piwem. Dlaczegoż opilstwo piwne miałoby być lepsze od gorzalczanego, chyba dlatego tylko że niemieckie; ale bo też wielu u nas co « nie ma serca i nie patrzy w serce » osowiłał spokój i wagę sadła uważa za jeden znak dobrego bytu człowieka. O podobnych sposobach zapatrywania się na rzeczy nie masz co mówić. Cała trudność zawsze w tym leży, jak naznaczyć i utrzymać granicę między prawem użyciem a nadużyciem, jak w sumieniu każdego postawić stróża, któryby jej pilnował, a zewnętrznym urządzeniem stosunków społecznych, ułatwić i dopomódz jemu. Zimne wyrozumowania mało podobno tu poradzą; więc i trafniej wszakże żywa miłość bliźniego i prawdziwie braterska życzliwość dla ludu; reszty dopełni miłosierdzie Boże. To też, kiedy się między nami wszystko tak powoli dzwiga, tak w gmatwaniu interesów płacze, że ani drogi ani końca dojrzeć nie możemy, Opatrzność uderzającąmi faktami rzuca nam wskazówki, nauki i przestrogi.

Do opatrnych faktów zaliczyć trzeba tę myśl zawiązania się bractw wstrzeźliwości, co tak szybko przebiegła niektóre części naszej ziemi właśnie w dzisiejszych okolicznościach, w dzisiejszym ważeniu się wielkich zadań. Duchowieństwo nasze, wierne duchowi i tradycji Kościoła katolickiego, osadzając wszystko na bezwzględnej ofierze, nie wahało się wywiesić chorągwi abstynencji absolutnej. Lud w swoim ponurym, tęsknym i wątpliwym oczekiwaniu, zerwał się na wezwanie pod krzyż, i nie oglądając się na nic, nie ważąc i nie rozbierając wy magań, pobiegł tłumami korzystać i ślubować.

Byłem świadkiem tych zbiegów po wiejskich kościołach Żmudzi i Litwy. Pamiętne dla mnie wrażenie wspinał się pompy Ś. Piotra w Rzymie; ale nie wiem czy będzie mi w życiu chwila pamiętniejsza na tę, kiedy widział i słyszał jak ten lud biedny, prosty, w głębokiej skrusze po wysłuchaniu nauki, wymawiał słowa przysięgi, a potem padłszy na kolana, głosem tłumiącym głos organu zawołał: Święty Boże! Święty Mocny! Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami! Zatrząsł się kościółek napęczniony ścisnątą ciżbą wiernych; we wszystkich oczach wzniesionych ku niebu zabłysły łzy rozrzewnienia i ufności. Uczulem tu nutę hymnów spiewanych w podziemiach prześladowanych chrześcijan wśród pogańskiego Rzymu. Zdawało mi się także, że widzę te same tłumy, co za Jagielly zbiegały się do chrztu, przyjmujące teraz nową szatą białą na nową epokę życia. W tym otworzyły się drzwi do zakrystyi. Patrząc jak tam wszyscy runęli zapisywać się do księgi, z jakim jasnym okiem wracali z tamtąd, musiała ci pogodna i spokojna nadzieja wstąpić do duszy, musiałeś pomyśleć sobie: silny to lud i wielka jego przyszłość; ogromna tam potęga moralna, gdzie tak potężna wiara.

Nie brakło usiłowań na wstrzymywanie tego popędu, a te bynajmniej nie pochodziły z czystych, na sumiennym przeświadczeniu opartych pobudek. Względy ekonomiczne służyły za całą pokrywę względów egoistycznych. Zawiazywały się koalicje panów z żydami, używano wszelkich środków, namowy, podstępów, groźby. Znaleźli się właściciele tegoż charakteru, którzy przyjmując także metodę abstynencji absolutnej, pod karą zakazywali włościanom chodzić do kościołów. Pisano przedstawienia do gubernatorów i ministrów, biegano do Petersburga. Nakoniec rozkazy władz przecięły dalszy postęp jawnej propagandy. Przychodzą nawet dyspensy uwalniające od złożonych ślubów, które ogłaszane są po wioskach i miasteczkach. Ale co się stało, to się już stało: lud wytrzeźwiał, przykład dany, ofiara złożona. Może podobało się Bogu doświadczyć swego ludu i poprzestać na tej próbie. Nie spierając się tedy ani o teoretyczne zasady, ani o praktyczne w całej rozciągłości zastosowanie stowarzyszeń wstrzeźliwości, nie troszcząc się o materialne następstwa wywartego przez nie wpływu, powinniśmy raczej wyciągnąć jasną i zbawienną naukę z tego faktu. Nie uszedł on z pod uwagi pism rosyjskich: unoszą się one nad potęgą siły religijnej, oddają cześć gorliwości i odwadze duchowieństwa Żmudzi i Litwy.

Ponieważ mowa o Litwie, z żalem dodać muszę dla dokładnej wiadomości waszej, a razem dla pokazania jak wiele zależy od stojącego na czele hierarchii duchownej, że diecezyja mińska nie miała w tym udziału. Przed zakazem jeszcze rządowym, propaganda odbiła się o jej granice jak o mur chiński. Przyczyną tego jest, że na żarliwą odezwę biskupa żmudzkiego, biskup tutejszy dał odpowiedź, której powtórzyć nie chcę.

Pod koniec kwietnia przybywszy do Mińska, znalazłem miasto zajęte następnym wypadkiem, który opowiem, bo ma związek z głównym przedmiotem mego listu.

W stronie północnej powiatu stuciego jest miasteczko Hresk, należące do ks. Leona Radziwiłła. Mieszkańcy Hreska, jak wielu włości w dobrach radziwiłłowskich, używali szczególnych przywilejów: obowiązani byli tylko do

opłaty czynszu i odbywania powinności dróg. Taki stan rzeczy trwał od czasów niepamiętnych do chwili, kiedy p. Artur Maszewski wziął Hresk w dzierżawę. Człowiek ten od lat kilkunastu znany tu jako przedsiębiorczy spekulant i uchodzący za postępowego gospodarza, chociaż nieupoważniony przez dziedzica, wziął się *ex proprio motu* do reform, które miały niby na celu chęć przysłużenia się dziedzicowi, istotnie zaś były dla niego samego korzystne, a dla włościan niezmiernie uciążliwe. Znana potulność i cierpliwość ludu białoruskiego długo znosiła wszystko, nim poczał wydobywać się jęk boleści i głos skargi, który na drodze do dziedzica więznął bezskutecznie w uszach plenipotentów i sekretarzy, a na inną głuszony był brzękiem zabiegliwego grosza. Nakoniec przebrała się miarka, przyszło do jawnego oporu i nieposłuszeństwa. Wezwany sprawnik nie zdołał przekonać i ugiąć włościan, którzy wiedząc już o gotujących się zmianach ich położenia, oświadczyli że udadzą się do samego Cesarza. Niezwykły ten wybuch odwagi chciano stłumić postrachem, sprowadzono szwadron ułanów. Na nic się to nie przydało, bo ludność rozsypała się po lasach, a garstka jej, jak mówiono, puściła się w drogę do Petersburga. Tymczasem doszła wieść, że Cesarz uwiadomiony został o tym wypadku przez ministra wojny, pierwój nim władze w Mińsku otrzymały doniesienie. Gubernator tedy zjechał na miejsce z półkownikiem żandarmów; sprowadzono jeszcze dwa szwadrony, rozkwaterowano żołnierzy po pustych chatach i zaczęto oblławę na chłopów, żeby pochwycić naczelników, ukarać przykładnie, przywrócić porządek, i dać czem prędszy raport Cesarzowi o poskromionym buncie. Nie potrzebuje mówić co z tego będzie na teraz, i jakie to skutki gotuje nadal.

Chciałbym do tych czarnych rysów dodać choć parę jaśniejszych; dlatego nadmienię, że w tej samej okolicy, niedaleko miejsc, które dziś zalane łzami, wkrótce obleją się krwią z pod rozeg wołającą o sprawiedliwość do Boga, są domy, gdzie można widzieć dobitniejsze niż w powieści wzory «Bożej Czeladki», gdzie z otwartymi ramionami przyjmują choćby najuboższą zasługę, a nie lękają się drzwi zamknąć przed bogatą niecnotą, gdzie wszystko jeszcze, przypomina lepsze dawne czasy. W jednym takim zamożnym domu, bogata dziedziczka, rówieśnica wiekiem i urodą tych świetnych Polek, co błyszczały po salonach stołecznych, albo w szerz i wdluż przejeżdżają Europę, jest aniołem pocieszycielem kmiotków, mistrzynią i siostrą wiejskiej dziatwy, odbywa wędrówki od chaty, odwiedza chorych, zajmuje się losem biednych. I to nie z chwilowej fantazyi, ale z prawdziwego umiłowania cierpiących i maluczkich, ciągle i wytrwale. Ledwo dziecko w chłopskiej chałupie wyjdzie z pieluch i pocznie szczebiotać, już ją zna, bieży do niej. Często matka traci je z oka i na pewno idzie szukać u *Ponienki*. — Gdzie indziej pani, córka znakomitego rodu, miłość dla straconego dziecięcia przeniosła na dziatki swoich włościan. Założyła dla nich szkołkę, w dozorowaniu jej nie zdając się na nikogo, sama ją odwiedza, przepędza w niej godziny, uczy drobiazg pacierza, podroślejszym wykłada zasady wiary. — Obok tylu zasmucających czynów, małe to na pozór dzieła, wśród tylu cierni skromne to kwiaty, ale woń ich niebieska. Kładę je do mojego listu, żebyście nią orzeźwieni, łatwiej pocieszali się tą myślą, że pod brudnymi napływami, które

zejść mogą, są na ziemi naszej krynice czystej i żywej wody.

Dziennik *le Pays* z d. 10 czerwca ogłasza następną korespondencją z Krakowa :

« Niedawno temu rząd austriacki zawezwał do broni ochotników z różnych prowincyj, lecz niedomagał się ich przynajmniej od naszego miasta, którego egzystencją polityczną przed kilkunastoma laty zburzył w sposób tak arbitralny. Ale w Austrii, bardziej niż w jakimkolwiek państwie, władze podrzędne lubią wyprzedzać się w gorliwości. Nasz więc gubernator, p. hr. Clam de Martinitz umyślnie po to wybrał się do Wiednia, aby mu wolno było ogłosić niesłychaną proklamacyą, która zadziwiła i oburzyła wszystkich mieszkańców Krakowa.

» Żąda on nie tylko korpusu ochotników ale i ofiar dobrowolnych na jego ubranie i utrzymanie. « Idąc ochotczo » za podjętą innych miast i prowincyj (woła p. Martinitz w swój odezwie), prosiłem i uzyskałem upoważnienie do utworzenia korpusu ochotników w tym obębie » rządowym. Dwa bataliony po cztery kompanie mają » być utworzone, a to jeden batalion piechoty i jeden » strzelców.... Naprzód więc, wierni synowie Ojczyzny! » Dzielna młodzieży i mężowie! spiescie w szeregi was » lecznych wojowników! Komu zaś niedano za tem » pięknym isę powołaniem, ten niechaj znosi dary i » składki etc. Skoro każdy zrobi co może, każdy w miarę » sił swoich z chętnym udziałem przystąpi, wtedy wkrótce » dzielny hufiec stanie ubrojeny i będzie mógł » pospieszyć, aby stanąć wespół w gorących i chlubnych » bojach. »

» Tak więc rząd wiedeński wzywa mieszkańców Krakowa, Krakowa dawniej stolicy Polski, aby stanęli pod sztandarami Austrii dla obrony swój « ojczyzny. »

» Ten rząd co w r. 1846 depcząc traktaty dotąd obowiązujące i bez względu na protestacye Francji i Anglii przywłaszczył sobie Wolne Miasto, oddawszy nieco pierwój sąsiednią prowincyą na rzeź i rabunek, ten rząd co w r. 1848 bombardował nas bez litości, wydał nam wolność handlową i osobistą, zrujnował nas podatkami i własnym bankructwem, co od lat trzynastu dręczy nas całą srogością systematycznej nienawiści, co w miejsce kodexu Napoleona wprowadził do nas barbarzyńskie prawodawstwo, co nawet w szkołach zakazuje języka ojczystego, ten rząd od którego samych tylko zelżywości i krzywd doznawaliśmy i doznajemy wciąż od lat trzynastu, ten rząd dzisiaj nową nam wyrządza obelgę domagając się, abyśmy dla jego obrony poświęcili to, co nam jeszcze z życia i nienią naszego zostawił.

» Powtarzam, trudno byłoby wyrazić oburzenie naszego miasta, i nie znajdzie się, bądźcie pewni, ani jeden człowiek uczciwy w całej prowincyi, aby usłuchał podobnej odezwy. Wszakże niedziwicie się choćbyście nieza długo posłyszeli, że jakiś korpus ochotników polskich pojawił się w szeregach armii austriackiej. Będzie to znak, że hr. Clam Martinitz chciał przeprowadzić bądź co bądź swój projekt, i aby tego dokonać, uciekł się do środków ostatecznych, to jest że albo ludzi gwałtem pakował w szeregi, albo je zapelniał więźniami kryminalnymi. Bo choćby przyszło zbrodniarzy kryminalnych ubierać w piękne mundury ochotnicze, nie zatrzyma się przed tem ów rząd, co w r. 1846 płacił po 10 reńskich za głowę zabitego szlachcica, i którego szczodroliwosci, ów herszt morderczej bandy, Szela, zawdzięcza do dziś dnia hojne opatrzenie. »

Redaktor, Felix Wroński.

W drukarni L. Martinitz, przy ulicy Mignon, 2.